



Człowiek wyższy czy nadczłowiek?

(Zamknięcie polemiki).

Nie polemiczna zciekłość, nie marna chęć „postawienia na swoim” pociąga mnie w szranki dalszej dyskusji. Spór, przeciągający się bez końca, nie zaostrza uwagi czytelnika; nudzi tylko i nuży. Mniemam, że różnice naszych teoretycznych stanowisk zarysowały się już dość wyraźnie, że nawet idea mojego przeciwnika, dzięki moim zarzutom, a jego obronie, zyskała pewne uwypuklenie, i że obecnie sam czytelnik, porównawszy nasze wywody, najlepszym będzie pomiędzy nami rozjemcą. Więc tylko gwoli pewnej zajmującej treści, tkwiącej w poruszonej przez nas kwestji, pragnę, o ile mogę, najobiektywniej zreasumować te punkty wytyczne, od których zależeć będzie sąd czytelnika, rozstrzygający bądź na moją, bądź na p. Pieńkowskiego korzyść.

Jeżeli sprawę zjawienia się „nadczłowieka” przerzucać w głęboką pomrokę oddalonych wieków przyszłości, jeżeli wierzyć w zjawisko, nie zaprzatając uwagi drogami i sposobami, jakimi się ono stanie, jeżeli mówić, jak tego chce p. Pieńkowski, tylko o „jakimś ogólnym, mglistym przeczuciu czegoś wyższego, radosnego, strasznego, niezmiernie silnego”, słowem, o... wizji — to w gruncie rzeczy nie może być mowy o poważnym sporze naukowym. Wolno jednym ludziom posiadać wizje, wolno drugim nie podzielać ich; wolno jednym mieć przeczucia radosne, drugim — posępne... I bodaj, że przyznanie słuszności mnie lub p. Pieńkowskiemu w takiej kwestji zależnym będzie nie od stopnia wiedzy lub charakteru umysłu, ale raczej od stanu nerwów, jakości apetytu i zdrowia wątroby... Gdyby w pierwotnym artykule p. Pieńkowskiego wyraźniej zaznaczonym zostało, że tylko o taką wizję chodzi — nie miałbym mu różowych przeczuć moją polemiką.

Wydało mi się jednak, że owo „mgliste przeczucie” posiadało w artykule p. Pieńkowskiego zbyt krwistą cerę. Upewnił mnie o tem ton całego artykułu, a pomiędzy innymi chociażby zdanie: „Namiętne wołanie człowieka przeraża z siebie niewąwem w czyn.” Otóż jeżeli „niewąwem” nie znaczy „niewąwem”, jeżeli „przeradza się” oznaczać ma „przerodzi się”, jeżeli to zdanie, mówiące wyraźnie o czasie terażniejszym, p. Pieńkowski „stosował wyraźnie” (?) do „przyszłości” — to czytelnik odmówi słuszności moim zarzutom. Ale mój przeciwnik w tym wypadku znajdzie w sobie chyba tyle uprzejmej sprawiedliwości, aby nie zwalać na mnie całkowicie winy nieporozumienia i przyzna może, że pogląd, z którym walczę, jakkolwiek „urodził się w mojej własnej głowie” (?), to przecie... pod natchnieniem nie mojej nieścisłości wyrażeni!

Również, jeżeli czytelnik w wyrażeniu „wołanie” niedostrzega kładzenia akcentu na „wpływy psychiczne”, jeżeli w obecnym traktowaniu wpływów psychicznych tylko jako „pogłosu” odnośnej „pracy biologicznej” nie dojrzy spóźnionej (po moich zarzutach) poprawki pierwotnej idei — to znowu przyzna słuszność pod pewnymi względami p. Pieńkowskiemu. Ale może i mój przeciwnik zreflektuje się, że jego „jasne” idee wymagają pewnych dodatkowych wyjaśnień i pewnej precyzji w określeniu szczegółów, aby nie wywoływały „naiwnych błędów.”

Dalej, jeżeli w mojej koncepcji Darwinowskiej teorii rozwoju t. j. w przyjęciu jej wraz z szeregiem określników, z uwzględnieniem szczegółowych praw rozwoju, z podtrzymaną jej indukcją, czytelnik uzna za zbyt uczynną pedanterję, -- to przechylili szalę na korzyść naukowoci przecząc pana Pięnkowskiego (w ślad za Nietzchem) i podzieli jego zarzut o mojem „doktrynerstwie”. Jeżeli natomiast czytelnik nie zgodzi się na wyściskanie z naukowej teorii tylko soku (a lá pan Pięnkowski), jeżeli np. nie będzie w stanie brać teorii ewolucji Spencera w odosobnieniu od wskazanych przez niego praw (większa dyferencjacja i t. p.), jeżeli przyzna mi, że wyłuskanie z teorii Darwin'a tylko jądra — „faktu przemian w wyższym kierunku” roztopia daną teorię naukową w mglistym romantyzmie Schellinga lub Schleiermachersa, że przy takim wyściskaniu soku i obnażaniu jądra Darwinizmu stać się może Hegelianizmem lub jakąś przeczućową filozoficzną teorią rozwoju któregoś z greckich myślicieli, jeżeli, jednym słowem, czytelnik nie zgodzi się na odrzucanie charakterystycznych różnic, metod, praw, sposobów i t. d. — to zgodzi się raczej ze mną, niż z p. Pięnkowskim, i zarzuci temu ostatniemu nie brak doktrynerstwa, ale... doktryny.

Wtedy, wiązanie idei Darwin'a i Nietzschego na zasadzie dość ludzkiej i ogólnikowej analogii może nie wyda się czytelnikowi słusznem — wtedy czytelnik może przypomni sobie, że sam Nietzsche nieco sceptycznie odnosi się do odkryć swego jakoby „duchowego ojca”, Darwin'a, wskazując, że wystarczają do czynienia ich „niejaka ciasnota poglądu, suchość i pilność — czysto angielskie właściwości ducha” (Z tamtej strony dobrego i złego § 253). Wtedy czytelnik raczej położy nacisk na skontrolowanie słusności zestawień, z którymi dopiero obecnie wystąpił mój przeciwnik i które w dalszym ciągu uważa za mniej ważne, gdy my stawiamy na nich akcent główny.

Niesłusznie skazuje mnie mój przeciwnik na samobójstwo duchowe, przypisując mi, że nie wiem, iż „przewidywanie jest najwyższym zaszczytem nauki.” Tak, ale posiada ono naukową wartość, mojem zdaniem, tylko w tym wypadku, gdy zawiera w sobie pewne cechy określone. Le Verriere odgaduje z perturbacji Urana nową planetę i wylicza czas i miejsce jej zjawienia się Neptuna, a teleskopy odnajdują go w określonym punkcie przestrzeni i w określonym momencie czasu. Wspaniała dedukcja Newtona niebawem ubiera się w szaty praw matematycznych. Robert Mayer, odkrywając prawo zachowania energii, nie jest gołostolnym prorokiem, choć dokładniejszego dowodowego uzupełnienia oczekiwać musi aż od Helmholtza... Inaczej, nie wiem doprawdy, co dzieli naukową hipotezę od wizji; nie wiem, co przeszkodzi nam Mickiewiczowską wizję „czterdziestu czterech” traktować, jako pogląd naukowy?

Tyle — w ramach ścisłego sporu...

Po usunięciu przecie zasadniczego nieporozumienia, a mianowicie po przerzuceniu „nadezłowieka” w niedojrzałą, niezmiernie oddaloną przyszłość, spór mój z p. P. właściwie traci na wadze, staje się sporem o wizję, sprzeczką o zasadność różowego lub szarego koloru przeczuć o przyszłości istot ludzkich na ziemi... W sporze o tę wizję, powinniśmy obydwa apelować do odległych potomków, na których sąd gotów jestem czekać po śmierci niemniej cierpliwie, niż pan Pięnkowski.

Alc i tu nie uchylam się od kilku wyjaśnień (za życia), czemu barwa moich przeczuć jest szara, gdy p. Pięnkowski woli oddawać się różowemu przeczućom. Zastrzegam się, że wszystko, co niżej rzeknę, z natury przedmiotu, nosić może tylko charakter hypotetyczny; czytelnik może wtedy dowolnie, zaleźnie od usposobienia umysłowego, przechylić się ku mojej wierze lub podzielić wiarę p. Pięnkowskiego.

Wierzę w niezmierny rozwój człowieka, ale w gatunek nowy „nadezłowieka” nie wierzę. Oto dlaczego:

1) Gdy dzikiego troglodytę, mieszkającego w jaskiniach, karmiącego się ciałem swojego wroga-człowieka, bijącego pokłony kamieniom i zwierzętom, opętanego strachem, oddanego na łaskę żywiołów, porównywanym z dzisiejszym ucywilizowanym człowiekiem, zwyciężącą sił natury, porozumiewającym się w minutę z oddalonymi mieszkańcami globu, szybkującym w powietrzu i po wodach, mającym pojęcie o nieskończoności, wydającym ideał wszystko-ogarniającej miłości, — widzę przepaść na pozór niezgłębioną. A przecie wiem, że nauka, wiążąc te dwa olbrzymio odległe ogniwa w jednym pojęciu człowieka, postąpiła słusnie. Boć przepaść nawet między dzikim czło-

wiekim a najbardziej inteligentnym zwierzęciem jest większą... Boć między owym troglodytą a dzisiejszym człowiekiem odnaleziono łączące mosty, nakazujące mówić nie o różnicy gatunków, ale o ewolucji w granicach jednego gatunku. Wydaje mi się, że nawet największe przyszłe różnice podobnie usprawiedliwią tylko pojęcie o ewolucji gatunku ludzkiego, a nie o powstaniu „nowego gatunku”. Właśnie świadomy rozwój historyczny, właśnie spostrzegana przez nas ciągłość rozwoju, właśnie jedność owych „mostów” do „nadezłowieka”, właśnie powolność narastania zmian i obserwacja zbroczeń w kierunku wyższym nie pozwoli na rzucenie granicznej linii pomiędzy dawnym i jakoby nowym gatunkiem człowieka. Będzie wyższy człowiek... nigdy zaś nowy gatunek!...

2) Kiedy myślę o tem, co jest najcudowniejsze w umysłowości człowieka, sędzę, że jest to zdolność do abstrakcji. Ona to zapewnia wspaniałą przyszłość ludzkiemu gatunkowi. Jakikolwiek będzie umysłowy rozwój człowieka, jakkolwiek daleko zajdzie, jakiegokolwiek wynalazki i odkrycia cia przyniesie, — podłożo pozostanie to samo: zdolność do abstrakcji, właściwa już gatunkowi ludzkiemu i niezmienna w swojej istocie. Różnica między groszem i miliardem groszy jest tylko różnicą bogactwa, a nie istoty pieniądza. Dlatego mniemam, że różnica gatunkowa nastąpić mogłaby tylko przez przełom w charakterze umysłowości ludzkiej, przez zjawienie się nowej władzy umysłowej, przez przekroczenie tych granic poznania, które określić próbowali najświetniejsi myśliciele (np. Du Bois Reymond), przez zmianę naszego dyskursywnego myślenia, przez uniezależnienie charakteru naszego poznania od zmysłów i t. p. A w takie zmiany — niechaj wybaczy mi p. Pięnkowski — nie wierzę.

3) P. Pięnkowskiemu wydaje się, że zdruzgotuje mój sceptycyzm powołaniem się na wieczny czas, leżący przed nami i mogący przynieść zmiany nieobliczalne (?). Pozwól sobie przeciwstawić pięknej i szlachetnej wierze p. Pięnkowskiego dwa argumenty mojej niewiary. Po pierwsze, sędzę, że dysolucja jest takim samym prawem, jak i ewolucja, że przeciw tezie nieskończonego postępu powstaje groźnie antyteza — nieskończonego rozkładu, że w syntezie otrzymamy ciągłe niszczone, ciągle psujące się, t. j. ograniczony rozwój. Jeżeli olbrzymie przedpotopowe stworzenia wyginęły, bo przekraczały oczywiście pewną miarę fizycznego wzrostu, umożliwiającą utrzymanie się ich na ziemi, to sędzę, że rozwojowi „masto-dontów umysłowych” podobnie przeszkodzi jakaś tkwiąca fatalnie w naszej nerwowej organizacji granica; może dlatego na delikatniejsze organizacje norwowo-mózgowe tak często spada szaleństwo. W tem tkwi kres dla wcielenia się baśni o nadezłowieku. Wznosząc się umysłowo, mierzymy ku charakteru fizycznemu. Kzeczpan fizycznie, obniżamy subtelność i delikatność ducha. Stawiona zaś harmonja rozwoju fizycznego i duchowego mieści w sobie zadatki miarkowania rozwoju, dwojaką (aczkolwiek rozumną) granicę... Powtóre obok tezy rozwoju (bądź w kierunku postępowym, bądź rozkładowym) nie zawadzi postawić na mocy indukcji tezę niezmienności gatunków. Istnieje pewna stałość w powtarzaniu się form zwierzęcych. Jeżeli wierzyć wraz z p. Pięnkowskim tylko w czas, przynoszący zmiany w kierunku wyższym, to należałoby dziwić się, że, nie bacząc na poprzedzający nas olbrzymi przeciąg czasu, dotąd nie wyginęły pierwotniaki, zwierzokrzewy, ba! choćby rośliny, należałoby oczekiwać raz jeszcze od zwierzokrzewu... człowieka, należałoby spodziewać się, że na znacznej przestrzeni historycznego rozwoju dają się wysledzić pewne postępowe zmiany w ewolucji małp ku najbliższej formie — człowieka... Boć jeżeli ewolucja jest prawem wiecznym czynnym, to gdy człowiek zmierza do nadezłowieka, małpa winna zmierzać do człowieka i t. d., i t. d. Jeżeli zaś stałość cech gatunkowych gra główną rolę, a gatunki nowe powstają na drodze przypadkowych, cudownych, niepojętych zmian, to wolno wierzyć w stałość gatunku człowieka, nie kłopotać się wzorem p. Pięnkowskiego tem, „co się stanie z człowiekiem” (por. pierwszy artykuł p. P.) i wiarę w zbroczenia w kierunku „nadezłowieczym” zaliczyć... do wizji nie-naukowych.

Wówczas może wolno będzie jeździć jednym na „konikach oklepanych”, skoro inni dosiadają nieujeżdżonych rumaków, z których... spaść łatwo. Jest to rzecz gustu... Rozstając się z p. Pięnkowskim chętnie ustępuje mu jego rumaka, gdy chodzi o kwestje naukowe; niechaj on mi w tym wypadku pozostawi mojego konika. Gdy jednak chodzić będzie o wizje poetyczne, chętnie i przyjaźnie śledzić będę za biegiem

jego wizji... Czy potrafię je dzielić, czy nie potrafię — to już sprawa barwy usposobienia, sprawa raczej serca, niż myśli¹⁾.

LEO BELMONT.

Ponieważ p. Belmont sprowadza spór na zbyt już nużące tory, więc odpowiem mu punktami ogniskującymi całą treść sprawy.

1. Najsuchszy pedant uczony bez obawy „roztopienia się w mglisty romantyzm” treści Darwina w tem zdaniu: „Życie organiczne na ziemi rozwijało się drogą przemian kolejnych od najniższych gatunków do najwyższego”. Darwinizm w ten sposób streszczony nigdy w życiu nie może się stać Hegelianizmem, ani żadnym innym izmem. „Metody, prawa, sposoby i t. d.”, jakimi postępował i jakie odkrywał lub wynajdywał Darwin, mogą być (i są już) poprawiane, zmieniane, odrzucone, a mimo to teoria jego, jako trwała zdobywcza nauka, zostanie na zawsze związana z jego imieniem, gdyż darwinizm to nie te lub owe szczegóły, „metody, prawa, i sposoby”, ale ta właśnie myśl podstawowa, która wyróżnia się dobitnie od wszystkich innych w świecie ducha ludzkiego.

Tym sposobem opierając związek idei Nietzschego z teorią Darwina na „obnażeniu jądra” tej teorii, postąpiłem ściśle naukowo, chociaż nie w myśl doktryny o „metodach, prawach i sposobach”.

2. Dwie te idee wiążą się same nie na podstawie analogii, ale na tym fakcie, że to samo, co jedna odkryła w przeszłości, druga przewiduje w przyszłości. Gdyby, wraz z imieniem Darwina, nie spadła na głowy ludzkie „straszna nowina”, że pochodzimy od gatunków niższych, to istotnie niepodobna byłoby wyobrazić sobie, skąd się wzięła jeszcze „straszniejsza nowina”, że z nas powstanie w dalszym ciągu gatunek wyższy!

Nietzsche mówiąc o duszach takich, jak Darwin, Mill i Spencer, powiada, że „do naukowych odkryć w rodzaju Darwina, wystarczy pewna ciasnota, suchość i pilność — słowem coś z angielszczyzny”. Rzecz widoczna, że te odkrycia Darwina Nietzsche traktuje, jako rzecz przyznaną i przyjętą przez siebie, a mówi tylko o tem, co wystarczy do robienia takich odkryć. Pomimo, że pan B. z tak pewną miną skrzywił tak jasną myśl, argument ten spalił mu na panewce.

3. Pan B. porównywał ideję o nadezłowieku z przypowiedniami już sprawdzonemi. Skoro mamy oprzeć się na porównaniu, to proszę porównywać rzeczy współmierne, a więc niesprawdzone jeszcze proroctwo Nietzschego z równie niesprawdzonemi jeszcze hipotezami naukowemi, np. z hipotezą mgławicową Laplace’a, z hipotezą Zöllnera i t. p. Widzę, że istotnie pan B. nie wie, ce dzieli hipotezę naukową od wizji.

Hipoteza ma wartość naukową nie wówczas, gdy „zawiera w sobie pewne cechy określone” (bo to jest komunał), ale w następnych dwóch wypadkach: 1° gdy, opierając się na pewnych danych naukowych, ujmuje pewien szereg zjawisk w jedną całość i konsekwentnie je objaśnia; i 2° gdy, opierając się na pewnej, już istniejącej teorii naukowej, przewiduje odbywanie się zjawisk, przez tę teorię omawianych, w przyszłości.

Ten zwłaszcza drugi wypadek stosuje się właśnie do idei o powstaniu gatunku wyższego, nadezłowieka — tak, że nawet stałe z mojej strony nazywanie tej idei „ideją”, albo „proroctwem” można uważać naukowo za zbytnią ostrożność.

¹⁾ Uwaga. Uczciwość polemiczna nakazuje mi odpowiedzieć na jedno wezwanie p. Pieńkowskiego. Przyznaję, że Nietzsche w Zaratuście nie podaje wyraźnie charakterystyki nadezłowieka; ale, że wskazuje prowadzące doń „mosty”, że uczy, jaką jest doń droga, sądzę, że nie będzie błędem logicznym szukanie w naukach moralnych Nietzschego charakterystycznych cech, których rozwój określi fizjognomicznie „nowego gatunku”. Inaczej mój przeciwnik przyznać musi, że cały ów „nadezłowiek” nie tylko jest wizją, ale najbledszą z wizji, bo zupełnie błądą, nieokreśloną, ogółoną z wszelkich cech... Co się wówczas stanie z twierdzeniem p. Pieńkowskiego, że taka wizja działa, wpływa, przeraża się w czyn... skoro jest tylko różnym dźwiękiem! — Na niniejszym artykule kołeczę polemikę z mojej strony, bo obawiam się, że spór o wizję w mojej interpretacji już zmrużył czytelnika. Jeżeli p. Pieńkowski zechce na ten artykuł odpowiedzieć, życzę mu, aby szczęśliwszy był odemnie w tym względzie.

4. Spór nasz bynajmniej nie stracił na wadze z chwilą, gdy pan B. zrozumiał, że idzie tu o daleką przyszłość, — i nie stał się przeto sporem o wizję. Samo już uzasadnienie teorii o rozwoju życia organicznego jest uzasadnieniem naukowem idei o nadezłowieku; a to tak samo, jak uzasadnienie teorii o stygnięciu ziemi jest uzasadnieniem naukowem hipotezy o zastygnięciu w przyszłości słońca. Hypotezy pana B. o „niezmiernym rozwoju człowieka” nie nazwę przecież wizją dla tego, że dotyczy ona niezmierniej przyszłości.

5. Co do pierwszego punktu wyznania wiary pana B. zapytam go tylko: Skoro „największe” różnice między gatunkami niższymi a człowiekiem „usprawiedliwiają pojęcie” o powstaniu z tych gatunków nowego gatunku „człowiek”; to dlaczego również „największe” różnice „przyszłe” mają usprawiedliwić „tylko pojęcie o ewolucji gatunku ludzkiego, a nie o powstaniu „nowego gatunku”?

Co do drugiego punktu wiary pana B. zapytam go tylko: Skoro tak „cudowna zdolność do abstrakcji” zjawiała się w nowym gatunku — w człowieku, to dlaczego w dalszym procesie zmian nie może się zjawiać również „cudowna i nowa władza myślowa”, która według pana B. byłaby właśnie jeżeli nie jedyną, jak on sądzi, to jedną z „różnic gatunkowych”?

W trzecim punkcie swego wyznania wiary pan B. tak zmaćlił treść, że istotnie usprawiedliwiona jest jego obawa o czytelnika. Po pierwsze, dysolucję postawił on jako antytezę ewolucji — i wyprowadził stąd syntezę: „rozwój ograniczony”. Jest to gruba, niezręczna sztuczka logiczna, obliczona chyba na nieuków. Dysolucja działa w granicach cech gatunkowych, albo poprostu w granicach praw fizycznych; dysolucją w biologii nazywa się hamowanie przez przyrodę rozwoju danych cech po za pewną miarę (wzrostu całego ciała, rozrostu organów i t. p.), a ewolucją w biologii nazywa się rozwój na podstawie nabywania nowych cech. Jakże można jedno drugiemu przeciwstawiać i wyprowadzać jeszcze z tego „syntezę”!!!

Powtórę szkoda, że pan B. zanim zaczął pobijać tezę „rozwoju” tezą „niezmienności gatunków” i naodwrot, nie pomyślał głębiej nad tem, że dwa te zjawiska są równoległe, że „niezmiennosc gatunku” jest to właśnie gałęź głównego pnia, t. j. rozwoju. Gałęź zostaje na boku w postaci gatunku trwałego, zastygłego niejako, gatunku, który nie ma już przed sobą rozwoju, ale tylko trwanie. Te zaś typy, które łączą gałęź niższą z wyższą, ten kawałek pnia, mający w sobie siły twórcze wydaje z siebie nową, wyższą gałęź i ginie. Na tem oparte jest drzewo genealogiczne rozwoju gatunków. Tem się tłumaczą luki w teorii Darwina, luki, których widomego zapełnienia żądają doktrynerzy, ale nie ludzie nauki.

Sprawa ta nie jest jeszcze wyjaśniona i posiadamy co do niej tylko hipotezy. Każda z tych hipotez wyszukuje i podaje różne przyczyny owego zastygania gatunków z jednej strony, a przeobrażania się i giniecia typów przejściowych z drugiej. Ale żadna nie przeciwstawia rozwojowi — niezmienności gatunków, gdyż w takim razie należałoby odrzucić całą teorię ewolucji i stanąć na stanowisku osobnych aktów stworzenia. Albo-albo.

Pan B. postępuje nienaukowo i nielogicznie, trzymając się raz tego raz owego stanowiska, a w końcu oświadczając, że skoro są dwie tezy takie, to „wolno wierzyć w stałość gatunku”.

6. W uwadze swej pan B. zaznacza, że skoro Nietzsche nie charakteryzuje nam owego „nadezłowieka”, to jest to najślabszą z jego wizji i jako taka nie może działać. Powtarzam, że pan B. przeczy tu sam sobie. Bo skoro stoi on na stanowisku „naukowem”, to jakże może od przewidywania zjawiska tak skomplikowanego wymagać czegoś więcej nad przewidywanie samego tylko faktu powstania tego zjawiska? Wówczas właśnie — powtarzam — gdyby Nietzsche dał szczegółowy obraz tego gatunku przyszłego — wówczas właśnie byłaby to wizja. A teraz jako przewidywanie nagiego faktu jest — z punktu widzenia uczonego — hipotezą naukową, dla mnie zaś, jako nieuczonego, proroctwem.

7. Pan B. krzywiąc wielokrotnie moje myśli, lub podsuwając mi swoje, krzywiąc również myśli Nietzschego oraz teorię ewolucji, na tem opiera swoją polemikę. Między innymi wmawia mi np., że „wierzę tylko w czas, przynoszący zmiany w kierunku wyższym”, podczas gdy ja mówiłem ciągle o „wielkiej pracy przyrody”, o drodze biologicznej” i t. p.

Nieściskość taka mogłaby mnie zgóry uwolnić od odpowiedzi, gdyby nie to, że tu nie o pana B. chodzi, ale o fo-

rum przyzwyczajone niestety do owej „Sztuki prowadzenia sporów“, o jakiej pisał swego czasu Schopenhauer.

Z wielu jeszcze „nieporozumień“ moich z panem B. zostawiam sobie na przyszłość omówienie w osobnym artykule roli, jaką gra duch w kształceniu się biologicznem człowieka. Dziś nie chcę już nużyć siebie i innych tak dużą pracą, pracą nie tyle serca, żołądka i wątroby, jak sądzi pan B., ile właśnie myśli.

ST. PIENKOWSKI.

